[*Druk: „Przewodnik Katolicki” 23(1963), s. 267-269.*]

X. Posadzy T.Chr.

W poprzek Ameryki

Po Wenezueli kolej na Stany Zjednoczone. Superodrzutowiec DC 8 Pan American w ciągu 4 godzin pokonuje przestrzeń Caracas - Nowy Jork.

Jest wieczór. Pod nami 9 milionowe miasto-gigant. Krążymy nad lotniskiem Idlewild. Pilot nie zaraz otrzymuje sygnał, pozwalający na lądowanie. Przeciętnie co 50 sekund startują lub lądują samoloty na tym największym lotnisku świata. A przecież obok Idlewild są jeszcze lotniska La Guardia i Newark.

W Nowym Yorku

Taksówką dojeżdżam do „Domu św. Józefa” przy 44 ulicy W. 425. Dostaję się w gościnne ręce ks. prałata Reginka i ks. prof. Gołębiowskiego. Nazajutrz rozpoczynam wędrówkę po mieście. Najbardziej uderzają przybysza budynki olbrzymy, tak charakterystyczne dla miast amerykańskich. W swoim czasie architekt nowojorski Luis Gullivan podsunął myśl budowy owych „scrapers” - drapaczy chmur. Rozpoczął się prawdziwy wyścig, kto wyżej. Rywalizacja doszła do szczytu przed wojną. Zbudowano wówczas 102 piętrowy Empire State Building. Potem jednak budowano już niżej. Obecnie drapacze mają przeciętnie 30 do 40 pięter. Architekci zaczęli też myśleć o upiększaniu swych olbrzymów według wymogów współczesnej urbanistyki. W środkowym Manhattanie powstała piękna dzielnica „Rockefeller Center”. Te niebotyczne bloki lśnią marmurem, nierdzewną stalą, aluminium i różnego rodzaju plastykami. Wygląd imponujący.

Windą ekspresową wjeżdżamy na 102 piętro Empire Building. Stąd dopiero widać ogrom największego miasta Ameryki. Wkoło nas nie kończący się las niebotyków, dalej szerokie, bezkresne usypiska gmachów, domów, fabryk. Z dala lśni statua Wolności, witająca każdy okręt wjeżdżający do portu nowojorskiego. Majestatycznie wije się ciemna wstęga rzeki Hudson.

Nowy Jork liczy 2 miliony samochodów. Toteż ruch na ulicach niesamowity. Całe kolumny aut płyną w jednym i drugim kierunku. Chwilami waham się, czy przejść na drugą stronę. Opowiadają tu taki dowcip: Ktoś na próżno próbuje przedostać się na przeciwną stronę ulicy. Ujrzawszy tam swego przyjaciela pyta zdumiony: „A ty jak się tam dostałeś?” Słyszy odpowiedź: „Ja się tu nie dostałem, ja się tu urodziłem”.

Samochód jest dla większości Amerykanów jakąś koniecznością życiową. Gdy ma 16 lat otrzymuje pierwszy wóz, a potem już zmienia tylko tańszy na droższy. I tak „gara", jak mawiają nasi rodacy, towarzyszy mu do grobowej deski. Samochód pozwala też ludziom mieszkać daleko poza miastem, skąd dojeżdżają do miejsca pracy. Nie mało jednak bywa trudności z parkowaniem. Samochody parkują pod ziemią i nad ziemią, na placach i ulicach. Ale to wszystko nie wystarcza. Wielkie magazyny a nawet teatry buduje się teraz na gwałt poza miastem, by było łatwiej parkować.

A ludzie? Uprzejmi, uczynni. Gdy proszę o jakieś wyjaśnienie, wskazanie ulicy, z wielką cierpliwością udzielają informacji. Chłopcy barczyści, długonodzy. Dziewczęta rosłe, usta pomalowane, policzki przypudrowane.

W Stanie Massachussets

Z Nowego Jorku skok do Stanu Massachussets. Zamierzam jechać pociągiem. Znajomi odradzają. Słyszę odpowiedź: - „W Ameryce podróżuje się przeważnie samolotami. Sto milionów Amerykanów korzysta rok rocznie z usług samolotu".
Przekonuję się o tym na lotnisku w Newark. Poczekalnie przepełnione. Co pół godziny odlatuje samolot do Bostonu, stolicy Massachussets.

Znajomi obwożą mnie samochodem. Odwiedzam parafie polskie. Odwiedzam naszych rodaków. Mieszkają przeważnie wszyscy w własnych domach. Pracują ciężko, może nawet więcej niż w Polsce. Niektórzy z nich dorobili się ładnego majątku. Obawiają się jednak kryzysu gospodarczego.

W Fall River kryzys się już rozpoczął. Sporo naszych rodaków znalazło się ostatnio bez pracy. Zamknięto fabryki wyrobów skórzanych. Plastyk wypycha skórę. Toteż te fabryki nic mają racji bytu. Robotnicy otrzymują zasiłek dla bezrobotnych. Stanowi on jednak tylko część zwykłego zarobku.

W Fall River uczestniczę w nabożeństwie wielkopostnym w polskim kościele. Kościół wypełniony. Ludzie śpiewają Gorzkie Żale. Słowa pieśni, choć nieraz zniekształcone angielskim akcentem, uderzają z wielką mocą o strop świątyni. Słowa Bożego słuchają w skupieniu. Tu i tam łza się zakręci na myśl o strasznej udręce Syna Bożego za grzechy nasze.

Przed kościołem ponad sto samochodów. Kiedy wyrażam zdziwienie z tego powodu, słyszę takie wyjaśnienie: U nas w Ameryce to nie luksus. To rzecz tak konieczna jak zegarek, jak chleb.

Orchard Lake - Detroit

Z Bostonu przenoszę się do wielkich skupisk Polonii w Detroit, Buffalo i Chicago. Nasamprzód Detroit. Mieszkam 40 km od Detroit w Seminarium Polskim w Orchard Lake.

Seminarium mieści [*s. 267*] się w kilkunastu budynkach. Położone jest malowniczo wśród ogromnego parku, między dwoma jeziorami. W dniu mego przyjazdu odbyło się poświęcenie nowego kościoła seminaryjnego. Kościół zbudowany w kształcie namiotu, dobrze harmonizuje z otoczeniem. Budulec - beton, stal, szkło, tworzywo sztuczne. Koszt - pół miliona dolarów.

Na czele seminarium stoi obecnie wielce zasłużony ks. Prałat Filipowicz. Grono profesorskie ma w swoim zespole wybitnych naukowców i wychowawców, takich jak ks. ks. Jasiński, Peszkowski i Swatek. Seminarium położyło niesłychanie wielkie zasługi dla Polonii amerykańskiej. Na tysiąc dwustu kapłanów polskiego pochodzenia w Ameryce większość przeszła przez Orchad Lake. Uczelnia liczy obecnie ponad trzystu wychowanków - 70 kleryków i 250 seminarzystów w szkole średniej. Ze spotkań z przyszłymi duszpasterzami Polonii odniosłem jak najlepsze wrażenie. Są szczerze pobożni, inteligentni, zdrowi, wysportowani, Będąc na lekcji języka polskiego podziwiałem ich wielkie zainteresowanie sprawami polonijnymi. W kaplicy uderzało mnie ich skupienie. Nie zapomnę tej namiętnej wichury głosów, kiedy każdym rankiem śpiewali - „Kiedy ranne wstają zorze". W młodych głosach wyczuwało się wiarę i wolę służenia Bogu i Polonii na przepadłe.

Prawie codziennie jestem w Detroit. Odwiedzam parafie polskie, spotykam się z naszymi rodakami. Z rozmowy z ks. prałatem Borkowiczem, zasłużonym duszpasterzem Polonii, dowiaduję się, że parafie polskie kurczą się liczebnie. Młodzi odpływają na peryferie miasta, gdzie budują domy i osiedlają się na stałe, Wielu przenosi się do nowych ośrodków przemysłowych, gdzie otrzymują lepsze uposażenie. Większość Polaków z Detroit zatrudnionych jest w słynnych zakładach Forda, w Dearborn. Te największe zakłady samochodowe w świecie wyprodukowały już ponad sto milionów pojazdów mechanicznych. Ponad 16 tysięcy wozów opuszcza codziennie hale montażowe. Roczne zużycie stali w zakładach wynosi ponad dwa miliony ton.

W czasie mego pobytu w Detroit przyleciały tu „Słowiki Poznańskie" z swym dyrygentem p. Stuligroszem. Wielka sala Masonie Tempie, wypchana po brzegi. Ludzie słuchają w skupieniu. A przecież chór prezentuje częściowo klasyczną polifonię chóralną, nie tak bardzo przystępną dla przeciętnego słuchacza. Sukces niebywały. Entuzjazm przechodzi wszelkie granice. Niektórzy mają łzy w oczach. „Takiego chóru jeszcze w życiu nie słyszałem" - mówi do mnie ze wzruszeniem pewien znakomity profesor. Po występie przyjęcie w Domu Polskim. Wspólna wieczerza z chłopcami. Owacje, przemówienia. A potem wręczanie podarunków. Czego tam nie było. Kosze kwiatów, owoce, smakołyki, różnego rodzaju upominki. Słowem p. Stuligrosza i jego Słowiki uczczono po królewsku. Chyba „Mazowsze" nie dozna gorętszego przyjęcia, gdy przyjedzie do Detroit.

W Buffalo

W żadnym innym mieście nie ma procentowo tak wielkiej liczby naszych rodaków co tutaj. I w Bufallo Polacy zbudowali wielkie, wspaniałe świątynie. Kościół pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa ma najwyższe wieże w całej diecezji. Ks. infułat Adamski, proboszcz tej parafii tłumaczy mi powody, którymi się kierowali zmarły jego poprzednik ś.p. ks. Pitas i jego parafianie: - „Nie pozwolimy, by nas przewyższali Niemcy lub Italiany. Tego domaga się od nas polski honor".

W Buffalo słyszy się mowę polską względnie najczęściej. Jest ona mocno przetykana wyrazami angielskimi. „Siuur" (sure) - na pewno, „turek" (turquey" - indyk, „ajskrym" (ice-crema) - lody, „kolować" (call) - telefonować, „pikciery" (picture) - obrazki. Stanisław to już „Stanley" a Władysław to „Walter"...

Ks. prałat Bogacki zabiera mię do słynnych wodospadów Niagary. Jakieś 60 km drogi. Wzdłuż niej wielkie zakłady przemysłowe. Z dala słychać przeraźliwy grzmot. Jesteśmy na miejscu. Windą wjeżdżamy na szczyt wieży obserwacyjnej. Widok wspaniały i jednocześnie groźny. Rzeka Niagara traci nagle grunt pod nogami. Wszystkie jej wody walą 70 metrów w dół. Rozpryskują się w fantastycznych bryzgach. Białe welony mgły wodnej unoszą się nad przepaścią. Urzekające widowisko. A jednak wolę wodospady na rzece Iguassu, które oglądałem w czasie mego pobytu w Brazylii. Tam przyroda - w całej swej niepokalaności. Tu grzmot spadającej lawiny wód zagłusza huk motorów z pobliskich fabryk. Niagara Falls pachną zbytnio benzyną, „tą wodą święconą XX wieku", jak mawiał Papini. [*s. 268*]

Stolica Polonii

Lecę do Chicago. Odrzutowiec ląduje szczęśliwie na wielkim lotnisku Midway. Jeszcze przed 130 laty Chicago było spokojną wioską nad jeziorem Michigan. Dziś liczy ponad 5 milionów mieszkańców, w tym 800 tysięcy polskiego pochodzenia.

Miasto, centrum amerykańskiego Środkowego Zachodu, rozrasta się bezustannie. Zwłaszcza teraz, po uruchomieniu Drogi Morskiej przez Wielkie Jezioro i rzekę św. Wawrzyńca. Drogą tą okręty oceaniczne docierają do portu chicagowskiego, przywożą i wywożą dziesiątki milionów ton ładunku.

W mieście robi się ciasno. Za mało miejsca dla miliona samochodów. Toteż burzy się całe dzielnice, by budować nowe drogi przelotowe. Przez środek miasta przebiega obetnie północno-zachodnia droga ekspresowa. Całe miasto okala wielopasmowa autostrada „Tri-State Tollway". Ciągle buduje się nowe autostrady. Niektóre z nich mają 10 a nawet 16 pasm. Kosztuje to, bo kosztuje. Ponad 200 000 dolarów pochłania budowa kilometra drogi ekspresowej poza miastem. A na terenie miasta koszt sięga 8 milionów.

Przy oszałamiającym ruchu ilość wypadków też wyjątkowo duża. Niektóre autostrady otrzymały nazwę „bloudy-way” - krwawych dróg. Toteż policja drogowa nie pobłaża. Za przekroczenie „speed-limit” - dozwolonej szybkości - walą się mandaty 5 dolarów i więcej.

Niedawno temu jakiś ksiądz jechał rozwijając nadmierną szybkość. Łapie go policjant. - „Ach, to ty, ojcze. Poznałem Cię od razu, spowiadałem się u Ciebie przed tygodniem. Rozgrzeszyłeś mnie uczciwie, no to i ja Cię rozgrzeszę. Jedź z Bogiem, ale nie grzesz więcej”.

Duszpasterstwo polskie w Chicago w dobrych rękach. Ogromne zasługi położyli tu O.O. Zmartwychwstańcy. Zwłaszcza ś.p. ojciec Gordon wycisnął głębokie piętno na życiu religijnym naszych rodaków w tym mieście. Jego imieniem nazwana została szkoła techniczna, zbudowana przez O.O. Zmartwychwstańców kosztem 3 milionów dolarów. Kapłani Zgromadzenia po dziś dzień obsługują 9 wielkich parafii.

Jestem w centrali Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego. Rozmawiam z prezesem p. Pranicą oraz z innymi członkami Zarządu. Omawiamy aktualne problemy Polonii amerykańskiej. Moi rozmówcy są pełni optymizmu odnośnie przyszłości Polonii, liczącej ponad 6 milionów. Baczną uwagę zwraca się obecnie na przygotowanie inteligencji do pracy społecznej. Zakłada się kluby dyskusyjne, biblioteki. Organizuje się liczne imprezy, odczyty, wystawy. Moi rozmówcy podkreślają z naciskiem rolę Seminarium Polskiego w Orchard Lake, a zwłaszcza działalności 875 parafii polskich, rozsianych po całym kraju.

Wyjątkowa zasługa przypada zakonom polskim, zwłaszcza żeńskim. Ponad 10 tysięcy zakonnic robi wielką robotę katolicką i polską, pomagając m. in. polonijnym organizacjom w utrzymaniu polskości. Zwłaszcza siostry Felicjanki zasłużyły się wyjątkowo tej sprawie. Będąc na złotym jubileuszu Prowincji Felicjanek w Lodi dowiedziałem się, ile to Zgromadzenie uczyniło dla Polonii amerykańskiej. Na terenie Stanów jest obecnie siedem prowincji, liczących 3300 sióstr oraz 120 nowicjuszek i 100 aspirantek.

Nad Pacyfikiem

Z Chicago lecę 4 tysiące km na zachód do słonecznej Kalifornii. Lecimy nad stanami Illinois, Jowa, Kentucky. Lecimy nad Wielkim Kanionem, nad pustynią Newada, nad Górami Skalistymi...

Trzeba cofnąć wskazówki zegarków o 3 godziny według czasu nowojorskiego. W porównaniu z czasem polskim - różnica wynosi 9 godzin. Lądujemy na lotnisku International Airport w Los Angeles. W Chicago było mroźno, hulał zimny wiatr. Tutaj ciepło, przyjemnie. Personel lotniska w koszulach z podwiniętymi rękawami. Powietrze balsamiczne, chłodzone bezustannie lekką bryzą z Oceanu Spokojnego.

Na lotnisku oczekuje mnie ks. Sławik, rodem ze Śląska. Jedziemy przez Los Angeles - „miasto aniołów”. To miasto wiekuistej wiosny liczy 6 milionów, jest stolicą Kalifornii i chyba najpiękniejszym miastem Ameryki. Palmy, wszystkie odcienie zieleni, kwiaty połyskujące wszystkimi kolorami tęczy. A tuż przy mieście szumi Ocean Spokojny.

Pełne są czaru okolice stolicy: Santa Monica, Santa Barbara, Long Beach, Catalina Island. Jedzie się najnowocześniejszą super-autostradą Freeway. Droga prowadzi wśród gajów palmowych, wije się wśród plantacji pomarańczowych, wśród ogrodów pełnych krzewów egzotycznych i kwiatów zalanych potokami południowego słońca.

Tu bije serce Kalifornii, tego najbogatszego stanu Stanów, liczącego ponad 18 milionów mieszkańców. Ludzie ciągną tu jak ptaki na wyraj. Nęci ich łagodny klimat. Nęcą ich bogactwa ziemi kalifornijskiej. Przybywa ich po tysiąc dziennie. Przybywają tu także Polacy. Toteż w kościele polskim pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej coraz ciaśniej. Po mszy Św. w niedzielę ludzie zapoznają się wzajemnie, służą sobie radą, układają plany na przyszłość.

Jeden miesiąc w Ameryce to zbyt mało, by choć pobieżnie poznać kraj, ludzi. Niewątpliwie jedno uderza - wysoki poziom życia, a równocześnie wyjątkowa pracowitość i oszczędność Amerykanów. Jest to społeczeństwo młode, pełne radości życia, z gruntu religijne.

Z grup religijnych najważniejszą rolę odgrywają katolicy. W czasie walk wyzwoleńczych było ich w Ameryce zaledwie 30 tysięcy. Dziś jest ich już ponad 44 miliony. A liczba ta wzrasta z roku na rok. Miejmy nadzieję, że katolicy osobistym przykładem życia wywrą niemały wpływ na kształtowanie społeczeństwa w duchu Ewangelii Swoistą wymowę mają słowa słynnego amerykańskiego mówcy telewizyjnego, biskupa Fultona Sheena: „Potrzebujemy raczej świętych, aniżeli działaczy społecznych”.

X Posadzy T.Chr.

Los Angeles, w kwietniu.

TOWARZYSTWO CHRYSTUSOWE DLA WYCHODŹCÓW przygotowujące księży do pracy duszpasterskiej wśród Polonii Zagranicznej w Europie, Ameryce i Australii przyjmuje do nowicjatu młodzieńców z maturą Liceum Ogólnokształcącego względnie Technikum oraz po 9-ej klasie.

Zgłoszenia: Poznań 22, ul. Lubrańskiego l-a, Seminarium Duchowne. [*s. 269*]